
DOBROMIŁA TERESA BYSTRZYCKA

PRZESZŁOŚĆ W PAMIĘCI UKRYTA

Wprowadzenie

Druga wojna światowa spowodowała, że w głąb Związku Sowieckiego wywieziono setki tysięcy Polaków. Każdy dzień zesłańców na „niehumanitarnej ziemi” był walką o przeżycie. Polacy zmagali się z syberyjską przyrodą, chłodem, głodem, chorobami. Kobiety, mężczyźni i dzieci doświadczali sowieckiej gehenny, ale nie poddali się. Ciężko pracowali i marzyli o powrocie do Ojczyzny. Nie wszystkim się to udało. Syberyjska ziemia jest usłana polskimi mogiłami.

Ludzi deportowano z różnych regionów Polski. Ziemia przemyska utraciła także wielu znamienitych mieszkańców, których bolszewicki reżim zmusił do opuszczenia kraju. Represje dotknęły niewinnych ludzi, wśród nich członków rodziny Bystrzyckich. *Z Sagi rodu Bystrzyckich* można dowiedzieć się, że Bystrzyccy to „[...] zasłużeni dla grodu nad Sanem ludzie. Senior rodu, Michał Bystrzycki był pierwszym po odrodzeniu Polski w 1918 roku burmistrzem Przemyśla, jego syn Tadeusz także pełnił tę funkcję. Kolejne pokolenie – dzieci Tadeusza: Zofia i Przemysław to literaci [...], Wieńczysława wybrała karierę akademicką i jest autorką znaczących dokonań w dziedzinie genetyki [...]. Najmłodsza potomkini Tadeusza Bystrzyckiego, Dobromiła Teresa – po wielu latach spędzonych w Wielkopolsce przenosząc się na stałe do Przemyśla dowiodła ogromnego przywiązania i miłości do rodzinnego miasta”¹.

Tragiczny czas dla rodziny Bystrzyckich zaczął się 13 kwietnia 1940 roku – uderzenie w drzwi, dwie godziny na spakowanie i wywózka. Do Kazachstanu zostali deportowani: Helena Bystrzycka (jej mąż Tadeusz został aresztowany trzy dni wcześniej), jej matka Zuzanna Stankiewiczowa, dzieci: osiemnastoletnia Zofia, siedemnastoletni Przemysław, dwunastoletnia Wieńczysława i Dobromiła, wówczas dziesięcioletnia.

Dobromiła Bystrzycka, często wspomina swoje dramatyczne, sowieckie losy i dzieli się wspomnieniami z dziećmi, młodzieżą i ludźmi, którzy są zainteresowani historią polskich zesłańców. Do tej pory wspomnienia te nie zostały spisane. Pozostawały one ulotne i znane tylko nielicznym. Warto zatem je udokumentować i szerzej przedstawić. Spisanie wspomnień jest sposobem na ocalenie od zapomnienia ludzi, miejsc, wydarzeń i przeżyć. Oto wizja dziecięcego spojrzenia na czas zesłania, przedstawiona po bardzo wielu latach. Zesłańcza dziewczynka, dziś starsza pani wspomina swoje doświadczenia z „niehumanitarnej ziemi”

Wspomnienia Dobromiły Bystrzyckiej nie są czarno-białe. W głowie i sercu dziewczynki, którą wówczas była, utrwaliły się różnobarwne obrazy. Oprócz złych doświadczeń, odnajduje dobre strony syberyjskiego życia. Cieszyła ją wówczas praca, która dawała rodzinie wymierne korzyści, potrafiła dostrzec piękno przyrody

¹ *Saga rodu Bystrzyckich. Przedsiębiorcy, urzędnicy, literaci, uczeni, zesłańcy*, red. J. Sztaba, A. Sarkady, Przemyśl 2010, s. 11.

i serdeczność przyjacielskich ludzi. Na pierwszy plan wspomnień wysuwa się babcia i mama, czyli osoby, które dawały bezpieczeństwo i ciepło. Gdy najdroższe kobiety nie wytrzymały głodu, chorób i zostały pochowane w stepie, dziecięcy świat runął. Zesłanie spowodowało szybkie wejście w świat dorosłego życia.

Jest wiele wspomnień napisanych przez Sybiraków. Każde wspomnienie to czyjś tragiczny los. Dobromiła Bystrzycka ze swej pamięci wydobyła wszystkie wydarzenia, które miały znaczenie dla małej dziewczynki.

Jednostkowe przypadki, w tym przypadek Dobromiły Bystrzyckiej, pozwalają uchwycić szerszy kontekst historyczny i pokazują położenie Polaków na obcej, nieprzyjaznej ziemi rosyjskiej. Są wypełnieniem białych plam dziejów naszego narodu i wyjaśnieniem kwestii, o których przez wiele lat milczano².

Małgorzata Dziura
Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyślu

*

Dzieciństwo i wywózka

Urodziłam się 14 stycznia 1930 roku w kamienicy przy przemyskim rynku – mówi Dobromiła Bystrzycka – budynek Rynek 9 mój ojciec otrzymał w prezencie ślubnym od swojego ojca. Żyło nam się wygodnie i dostatnio. Ojciec³ był architektem, założył „Książnicę Naukową” w Przemyślu, dużo pracował i udzielał się w wielu sferach życia przemyskiego. Mama⁴ była społecznikiem, gdy wybuchła wojna, prowadziła „garkuchnię”, pomagała żołnierzom i cywilnym uciekinierom, przechodzącym z niemieckiej na rosyjską stronę i odwrotnie, organizowała ubrania, żywiła, przygarniała na nocleg. Każdy mógł liczyć na jej pomoc. Dużo też czytała, w naszym domu nigdy nie brakowało różnych książek. Ojciec w młodości zgromadził okazałą bibliotekę, a mama były właścicielką małej wypożyczalni książek, którą ojciec potem rozwinął. Miałam dwie starsze siostry – Zofię i Wieńczysławę oraz brata Przemka⁵. Rodzice prowadzili dom otwarty, ciągle przewijali się jacyś ludzie.

Dzieciństwo miałam wesołe, beztrudne, ale niestety – krótkie. Do dziesiątego roku życia byłam hołubiona i rozpieszczana. Mama chciała, żeby moją chrzestną matką była księżna Lubomirska⁶, a tak się składało, że ona

² Zapis wywiadu przeprowadzonego z Dobromiłą Teresą Bystrzycką w styczniu 2016 r.

³ Tadeusz Bystrzycki, najstarszy syn Michała Bystrzyckiego, znanego przemyskiego przedsiębiorcy i urzędnika, urodzony w 1889 roku.

⁴ Helena ze Stankiewiczów Bystrzycka urodziła się w Dobromilu. Studiowała polonistykę we Lwowie, ale wybuch I wojny światowej sprawił, że edukacji nie skończyła. Dzięki pomocy finansowej stryja otworzyła wypożyczalnię książek w Przemyślu, gdzie poznała Tadeusza Bystrzyckiego, którego poślubiła w 1920 roku.

⁵ Zofia Bystrzycka (1922-2011) – powieściopisarka, autorka wielu felietonów i powieści obyczajowo-psychologicznych. Wieńczysława Bystrzycka-Kozera ur. 1927 r., profesor nauk rolniczych w zakresie genetyki i hodowli roślin Akademii Rolniczej w Krakowie. Przemysław Bystrzycki (1923-2004) – cichociemny, pisarz i dziennikarz wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki Raczyńskich i Honorowy Obywatel Miasta Poznania.

⁶ Chrzestni Dobromiły Teresy Bystrzyckiej: Karolina Lubomirska – właścicielka dóbr Bakończyce (Przemyśl) i Rudolphus Richter – sędzia. Chrzest miał miejsce 12.06.1932 r.

ciągle miała żalobę, więc odwlekano mój chrzest niemal do trzeciego roku życia. Jak przez mgłę pamiętam tę uroczystość i przede wszystkim smak soli, o którą się dopominałam u księdza udzielającego chrztu⁷.

Jako najmłodsza w rodzinie, a jednocześnie chuda, anemiczna i chorowita, nic nie robiłam i we wszystkim byłam wyręczana. Zawsze miałam jakieś nianie, bony, a mama ciągle się nade mną rozczulała i dbała, by mi się nic nie stało. Lubiłam chodzić do szkoły, troszkę uczyłam się języka ukraińskiego, co potem bardzo się przydało na zesłaniu. Rodzeństwo było starsze i lepiej przygotowane do życia.



Dobromiła Teresa Bystrzycka, fotografia z dnia chrztu, 1932 r.
i Pierwszej Komunii Świętej.

Mieszkała z nami babcia Zuzanna – mama mamy, zajmowała się prowadzeniem domu, ciągle przygotowywała nam jakieś pyszności do jedzenia. Pamiętam, że często wychodziła do kościoła. W naszym domu zawsze było pełno różnych zwierząt, bo wszyscy je kochaliśmy.

Gdy wybuchła wojna, ojca przez jakiś czas nie było w domu, ale potem stwierdził, że nie będzie dłużej się ukrywał. Źle się czuł, był inwalidą wojennym. Z powodu odniesionych w czasie I wojny światowej ran żołądka był przez całe życie na diecie. 10 kwietnia 1940 roku przyszli do nas Rosjanie i aresztowali go. Pamiętam, jak dziś, ojciec patrzył na nas i płakał. Wiedział, co go czeka, tym wzrokiem się z nami żegnał, a ja nie zdawałam sobie z tego

⁷ Obrzęd chrztu przewidywał kiedyś wkładanie do ust nowo chrzczonego odrobiny soli na znak przyjęcia mądrości. Z symbolu soli zrezygnowano w 1969 r.

sprawy, że widzę go po raz ostatni. Został zamordowany w więzieniu w Kijowie i pochowany w zbiorowej mogile w Bykowej.

Po aresztowaniu ojca matka chyba przeczuwała, że będzie się działo coś złego, ale nam dzieciom nic nie mówiła. Pakowała jakieś tobołki. 13 kwietnia koło drugiej w nocy usłyszeliśmy łomotanie do drzwi. Bolszewicy weszli do mieszkania i mówili po rosyjsku: „Zbierajcie się. My dbamy o to, by dzieci chodziły do szkoły, mieszkacie bardzo blisko granicy, tu nie ma warunków do nauki. Pojedźcie 100 km za Przemysł i dzieci będą mogły chodzić do szkoły”. Jeden z tych żołnierzy był bardziej ludzki i powiedział: „Zabierajcie jak najwięcej ciepłych rzeczy”. Po czterech godzinach sprzed bramy kamienicy ruszyła platforma konna, na której siedziała cała rodzina. Babcia nie znajdowała się na liście wywozowej, mogła pozostać w Przemysłu. Nie chciała nas opuścić i pojechała z nami. Na zawsze zapamiętałam jej słowa: „Ja was nie zostawię, ja bym nie przeżyła sama, obojętnie, co nas spotka, razem będziemy przeżywać”.

Znaleźliśmy się na stacji Przemysł Towarowy. Zanim wyruszyliśmy w nieznane, przeżyłam bardzo smutną chwilę. Mielśmy naszego pupila pinczerka, taką maskotkę, wabił się Alma, mama zdecydowała, że piesek zostanie w Przemysłu, oddała go znajomym, którzy przyszli się z nami pożegnać. Okropnie wtedy płakałam, była to tragedia, tak przynajmniej wtedy wydawało się małemu dziecku.

W nocy następnego dnia ruszył transport, dużo wagonów napchanych ludźmi jak beczka śledziami. Podróż była jednym wielkim koszmarem. W wagonie były piętrowe prycze, małe okienka, panował mrok, smród i zaduch. Upokarzające było załatwianie potrzeb fizjologicznych. Za toaletę służyła dziura wyrżnięta w podłodze wagonu. Ludzie z koców zrobili parawan, by nie było to krępujące. Wszyscy głośno się modlili, odmawiali różaniec i różne nabożeństwa. Dzieci mniej zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństw, ale w wagonie dawało się wyczuć jakiś niepokój, beznadziejność, przerażenie. Gdy przyjechaliśmy do Lwowa, na dworcu nieznanymi Polacy dawali nam chleb, suchary, potem już było coraz głodniej i chłodniej. Jak byliśmy na terenie Rosji, pozwalano dwóm osobom z wagonu wychodzić po zupeł. Była to gorąca woda z kawałkami ziemniaków, ale wszyscy na nią czekali. Dawano także kawałek chleba.

My, dzieci śledziliśmy trasę podróży. Mój brat Przemek, taki trochę uczony-filozof, miał wtedy siedemnaście lat, zabrał atlas, patrzył na mijane miejscowości i odszukiwał je na mapie oraz informował wszystkich, gdzie jesteśmy. Z podróży zapamiętałam dwa wydarzenia – przejazd przez Wołgę i widok Kaukazu. Mój brat krzyknął: Rzeka Wołga! A mnie się zdawało, że to jakieś ogromne morze. Jechaliśmy piętnaście minut, bo Przemek odmierzał czas pokonywania rzeki. Potem pamiętam góry Kaukazu, takie ogromne, kamieniste, z okienka wagonu nie było widać szczytów, aż ciarki mnie przeszły, poczułam taki dziwny strach.

Po dwóch tygodniach wysadzili nas w Kustanaju, ale to nie był kres podróży. Jadąc cały dzień samochodem ciężarowym dojechaliśmy do kołchozu Panowka, oddalonego około 75 km od Kustanaju. Przewodniczący kołchozu – *priedsiedatiel* zaprowadził nas do baraku przypominającego biuro, a potem rozlokowano nas w nędznych jednoizbowych chałupach – gliniankach. Miejscowi ludzie patrzyli na nas jak na złoczyńców. Antypolska propaganda

zrobiła swoje. Każda miejscowa rodzina musiała jednak przyjąć jedną rodzinę zesłańczą. Sami cierpieli nędzę i ciasnotę, więc ten przydział bardzo im się nie podobał. Gdy zobaczyli, że jesteśmy tacy biedni, załamani, zgnębieni, głodni, to otworzyli serca. Zwykli ludzie w Rosji byli naprawdę szczerzy i dobrzy, a najgorsi, ci związani z systemem ustrojowym i urzędniczym.

Mając dziesięć lat nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się wokół działo i, że przyjdzie nam żyć kilka lat na rosyjskiej ziemi. Nie opuszczała nas wszystkich nadzieja, że to jest tylko tymczasowy pobyt.

Życie w kazachskim stepie

Polscy zesłańcy znaleźli się w obcym kulturowo i przyrodniczo środowisku. W mieszanecie różnych nacji zapamiętałam Kirgizów, ludzi niskiego wzrostu, o ciemnych włosach, płaskiej twarzy z wystającymi policzkami i skośnymi oczami. Mieli swoją mowę i zwyczaje. Pozwolono im trzymać zwierzęta, głównie konie, mieli też barany, kozy i krowy. Mieszkali w jurtach, w których na środku był dołek obłożony kamieniami, stanowiący ognisko. Nad ogniskiem ustawiano trójnóg, na którym wieszano na łańcuchach kocioł. Całe życie toczyło się na podłodze jurty zasłanej kolorowymi dywanami. Siedzieli po turecku. Uwielbiali mocną herbatę. Byli bardzo gościnni, jak raz z mamą poszliśmy do Kirgizów w czasie ich posiłku, to ciągle nas częstowali herbatą. Nalewali bez końca, ja już nie mogłam pić, mama mi pokazała, żebym odłożyła filiżankę dnem do góry. Jedli sery i pili *ajran*, czyli mleko kwaśne lub *kumys*, mleczny napój z kobilego mleka lub owczego, koziego i krowiego. Powiadali, że to ich eliksir życia.

Wszystkich, których zesłano do kołchozu, od razu wypędzono w step do pracy na tzw. „brygadę”. *Kto nie rabotajet, ten nie kuszajet* – te słowa ciągle powtarzano. Praca trwała 10-12 godzin, a w okresie szczytu prac polowych nawet dłużej. Do pracy zmuszano wszystkich, nawet dzieci, które skończyły dziesięć lat. Ja zbierałam całymi dniami kłosa po ścierniskach. Z zainteresowaniem przyglądałam się kombajnom zbożowym i żniwiarkom, ponieważ nigdy takich maszyn nie widziałam. Potem byłam pomocą kucharki. Jedna Polka gotowała zupę dla pracujących w polu. Był taki wyciągnięty w step wóz, podobny do wozu Drzymały, tam się gotowało, spało i mieszkało. Niektórzy spali pod gołym niebem. Obierałam głównie ziemniaki, były bardzo małe, więc pochłaniało to ogromnie dużo czasu. Za swoją pracę dostawałam odrobinę stawy.

Na jesień przeniesiono nas do sowchozu „Rakomsjojuz”, a potem na tak zwaną „toczkę”, to jest filię, odłamek tej fermy, który składał się z baraku, gdzie mieszkali ludzie i dwóch baraków dla bydła. Praca w kołchozach i sowchozach była ciężka i wyłącznie za jedzenie.

Starsza siostra, Zosieńka została przydzielona do dojenia krów, ona, panienska grająca na fortepianie i delikatna, nie potrafiła poradzić sobie ze stajennymi pracami. A brat zajmował się bykami, to było niebezpieczne, bo trzeba je było wypędzać i potem chwycić na lasso, a niektóre były bardzo narowiste. Utrzymywaliśmy się głównie z handlu wymiennego. Pieniądze na zesłaniu nie miały znaczenia, ważne, było mieć rzeczy, które można było wymienić za żywność.

Moje podstawowe zajęcie to było wyrabianie przeznaczonego na opał *kiziaku*, czyli cegiełek z krowiego łajna, zmieszanego z plewami. Latem chodziłam po stepie, z mamą i siostrą, zbierałyśmy wyschnięte krowie placki, był to już gotowy opał na zimę. Niektórzy w naszym *posiołku* mieli krowy, rano pastuch wyganiał wszystkie krowy w step, by mogły się najeść. Kilkoro dzieci razem z nim szło, wśród nich byłam i ja. Obserwowałam, która krowa podnosi ogon i szybko biegłam z miednicą, by mnie ktoś nie wyprzedził w zbieraniu łajna. Gdy miałam pełną miednicę krowich kup, wracałam, mieszałam je z plewami, ubijałam w foremkach ze starych naczyń, odwracałam foremki i wysypywałam ukształtowany *kiziak*, który potem suszył się na słońcu jak cegła. Bardzo ciężkie były te miednice z krowimi plackami, dziś czuję to w kręgosłupie. Robienie *kiziaku* miało jeszcze jeden nieprzyjemny aspekt, trudno było z siebie zapach krowiego łajna. Aby ktoś cennego opału nie ukradł, z *kiziaku* układało się duży stożek i oblepiało świeżym gnojem, tak zabezpieczony czekał na srogą zimę. *Kiziak* palił się dobrze, ale nie można było dopuścić, aby w piecu pozostały niedopalone kawałki, bo ulatniał się czad i można było się zatruć.

Zesłańcze dzieci szukały sobie różnych zajęć, by zdobyć trochę pożywienia. Czasem coś pożytecznego robiły, czasem kradły, a jeszcze kiedy indziej – żebrały. Nosiłam wodę jednej starej Kazaszce za miseczkę kefiru. Ciężko było dźwigać dwa wiadra pełne wody, ale perspektywa dostania jedzenia dodawała sił.

Dzieci, choć musiały pracować, miały trochę lżej od dorosłych. W kołchozie i na *toczce* nie było szkoły, żadne dziecko nie uczyło się, więc dzieci musiały pomagać starszym w walce o przeżycie. Gdy starsza siostra chciała mnie nauczyć języka rosyjskiego, do pisania były wykorzystywane marginesy i niezadrukowane powierzchnie sowieckich gazet, ponieważ brakowało papieru.

W stepie też czyhały na człowieka różne niebezpieczeństwa. Od najmłodszych lat byłam strachliwa. Najbardziej bałam się wilków, bo krążyły różne opowieści o tych zwierzętach. Sama nigdy nie spotkałam wilka, ale słyszałam, że rzucają się na ludzi i zwierzęta, i ich pożerają.

Kazachski step był dla nas, zesłańców miejscem pracy i życia. Musieliśmy przyzwyczaić się do warunków, jakie nam przygotowali Rosjanie oraz robić wszystko, by nie dać się pokonać i wytrwać do chwili uzyskania wolności.

Głód, śmierć i choroba

Śmierć na Syberii była codziennością, gdyż ludzie z Polski nie byli przyzwyczajeni do tak ciężkiej fizycznej pracy w ekstremalnych warunkach. Na rękach zesłańców umierali ich najbliżsi. Śmierć babci była dla nas strasznym ciosem. Babcia umarła w lutym 1941 roku. Długa podróż, a potem warunki panujące w kołchozie wykończyły ją. Jak dziś pamiętam taką sytuację – głodowaliśmy, za żywność wymienialiśmy różne rzeczy zabrane z Polski. Wieńczysława zajmowała się kuchnią, bo lubiła gotować, by na dłużej starczyło jedzenia robiła takie normy, a babcia nie chciała jedzenia. Babcia już wtedy chyba czuła, że będzie umierać, leżała cichutko na drewnianych skrzynkach, w których przywieźliśmy żywność z kraju. Powiedziała: „Zjedzcie na zdrowie dzieci, ja nie jestem głodna”. Ona wtedy oddała nam swoją porcję jedzenia,

byśmy mogli, my, młodzi dalej żyć. Niedługo po tym zmarła. Bratu udało się gdzieś zdobyć deski i zbić trumnę. Ja nie odprowadziłam babci na cmentarz, szłam za trumną tylko do pewnego momentu, potem musiałam zawrócić, bo nie miałam ciepłej odzieży, a był duży mróz. Gdy na wiosnę poszłam odszukać babci grób, już go nie znalazłam, syberyjska zima zrobiła swoje, wszystko było wyrównane.

Mama już w Polsce miała różne dolegliwości i choroby. Rosyjskie warunki pogłębiły jej zły stan zdrowia. Zaczęła poważnie chorować. Mimo okresu żniw i trudności z udostępnieniem podwózki, udało się ją zawieźć do szpitala. Niestety, nie uratowano jej, zmarła. Pamiętam, że w noc jej śmierci słyszałam jej ciężki oddech, jakby była z nami, choć leżała w szpitalu. To może jej duch przyszedł do nas po raz ostatni.

Gdy zmarła mama w lipcu 1941 roku, byłam jak w transie, płakałam i bardzo chciałam, by to był tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę. Okropnie się bałam, chyba nigdy w życiu nie przeżyłam takiego strachu jak wtedy. Dopiero co opłakaliśmy śmierć babci, a teraz choroba i głód uśmierciły mamę. Czułam przejmującą pustkę i samotność. Zostaliśmy osieroceni w tym wrogim, obcym kraju, wśród obcych ludzi.

Przymieraliśmy głodem, ciągle brakowało żywności. Jednego roku, przed Bożym Narodzeniem znalazłam gałązkę, nie wiem skąd wzięłam kolorowe papierki, ale ją przystroiłam, co miało symbolizować choinkę. Bardzo się cieszyłam na Święta, niestety, nie było nic do jedzenia, by nie czuć głodu, zaraz poszłam spać. To były najgorsze Święta w moim życiu. Za jedzenie modliłam się też na grobach. W okresie wielkanocnym, prawosławni zanosili jedzenie dla swych zmarłych i zostawiali na grobach. Chodziły „dziady”, modliły się za dusze zmarłych i brały żywność. Ja też modliłam się i brałam jedzenie, bo byłam głodna. Na zesłaniu choroby i różne epidemie często się pojawiały. Głód, brud, brak higieny sprawiały, że ludzie masowo umierali. O żadnej opiece medycznej w naszym kołchozie nie było mowy.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, nie było studni, wszyscy wodę do picia brali z rzeki, a w tej rzece ludzie myli się, prali, zwierzęta wchodziły. Gdy wybuchła epidemia w naszym *posiołku* siostra Wieńczysława zgłosiła się na ochotnika do pomocy chorym. W Przemyślu należała do harcerstwa i przeszła kurs udzielania pierwszej pomocy, z powodu braku personelu medycznego była nieocenioną pomocą. Potem, już w Polsce, chciała zostać lekarzem, by nieść pomoc potrzebującym, ale jej się to nie udało.

Pewnego razu i ja zaczęłam strasznie chorować, miałam gorączkę, bóle brzucha. Prawie umierałam. Chorowałam na tyfus brzuszny, a potem płamisty. Gdy chorowałam na tyfus brzuszny wylądowałam w izolatce, bo to zakaźna choroba powodująca owrzodzenia przewodu pokarmowego. W tej izolatce nikogo nie leczyli, chodziło tylko o odizolowanie od zdrowych, żeby nie zarażać. Nic nie mogłam jeść, więc zalecono mi jajka na miękko. Moja najstarsza siostra zamieniała swoje ubrania na jajka i przynosiła mi po dwa. Nie zawsze umiała ugotować je na miękko. Gdy podała, z trudem zdobyty smakołyk, doglądającej nas pielęgniarki, bo nie mogła wejść do sali, patrzyła przez okno, a ja miałam jej pokazać, czy mogę zjeść jajka. Jeżeli były ugotowane na twardo okropnie czuła się rozczarowana, bo już niewiele miała

do przehandlowania, a jajka były nie do odzyskania, gdyż były skażone. Ze mną, w tej samej sali leżała moja koleżanka, pewnego ranka jej już nie było. Gdy zapytałam, gdzie ona jest, usłyszałam, że wyzdrowiała. Po wyjściu z izolatki dowiedziałam się, że umarła. Do dziś pamiętam rozpacz jej mamy i słowa: „Ty sierota, co nie masz nikogo wyzdrowiałaś, a moja córeczka, miała dla kogo żyć i umarła”. Czułam się wtedy bardzo nieszczęśliwa.

Tyfus płamisty łagodniej przechodziłam, nawet w czasie choroby zajmowałam się krową naszych sąsiadów, poїłam, dawałam jeść, bo oni byli w szpitalu. Choroby dziesiątkowały ludzi, bo nie było ani lekarzy, ani lekarstw. Kto był słabszy, mniej zahartowany, przegrywał walkę o życie.

Walka żywiołóv

Na zesłaniu dużą rolę odgrywał klimat, który charakteryzował się krótkim gorącym latem i srogą, mroźną zimą z śnieżnymi burzami, czyli *buranami*. Po wielu latach zacierają się obrazy ludzi i miejsc. Nigdy jednak nie zapomnę stepu w maju. Po horyzont zielona równina, bez żadnego drzewa, ani krzewu, porośnięta dziko rosnącymi irysami, tulipanami, taką trawą do srebrnych piór podobną, pełno było różnobarwnych krokusów. Było bajecznie, niesamowicie i jeszcze ten odurzający zapach stepu. Po kilku dniach kwiaty znikwały i zostawał zielony dywan traw. W następnych miesiącach zaczynały się upały, temperatura dochodziła do czterdziestu, pięćdziesięciu stopni. Dla małej dziewczynki to było istne piekło na ziemi. Raz w życiu przekonałam się, co oznacza pragnienie, za łyk wody oddałabym wszystko. Żar lał się z nieba, a *wodowoz* nie dowiózł robotnikom wody na step. *Wodowoz* to był taki człowiek, który beczką zaprzęzoną w byki dowoził wodę ludziom pracującym w polu. Pić wszystkim chciało się ogromnie, na horyzoncie zobaczyliśmy jakiś kształt przypominając beczkę. Często na stepie pojawiały się fatamorgany, więc nie było pewności, czy tam coś jest rzeczywiście. Jakimś wilczym pędem wszyscy zaczęli biec w stronę małej plamki. Ja byłam tak słaba, że chyba ostatnia dobiegłam, ale gdy wzięłam jakiś garnuszek i chciałam wziąć łyk, ktoś mi go wyrwał. Ta woda nie nadawała się do picia, była potrzebna do traktorów, czuć ją było ropą, ale dla nas była wybawieniem.

Na stepie często wybuchały latem pożary, bo panowała susza, wtedy wyjeżdżał traktor i oborywał ziemię, robił trzy, cztery okręgi, by odciąć ogień.

Najgorsze na zesłaniu były jednak zimy. Nie mieliśmy odpowiedniej odzieży – szub, walonek. Koce mama podarła na onuce. Ale to było za mało, marziliśmy okrutnie. Wszyscy mieliśmy odmrożenia. Zimowy step był straszny, zwłaszcza, gdy szalała burza śnieżna, czyli *buran*. Świat zamieniał się w jedną wielką biel, nic nie było widać. Ogromne tumany śniegu zasypywały wszystko. Człowiek nie miał szans z takim żywiołem. Zamieć śnieżna sprawiała, że ludzie nawet będąc blisko domu błędzili i zamarzali. Taka katastrofa błędzenia w *buranie* spotkała siostrę. Po wodę trzeba było chodzić do rzeki, bo nie było studni. Siostra wzięła koromysło i poszła po wodę. Gdy już była blisko domu, nagle zerwała się zawierucha śnieżna, ona zamiast iść do domu, oddaliła się od zabudowań i znalazła się na cmentarzu, poznała to miejsce po wystających kilku krzyżach. Nie wiedziała, co ma zrobić, strach ją paraliżował, bo, chociaż znała okolicę, w *buranie* straciła orientację. Chodziła wkoło dopóki jej starczało

sił. Ruchomy czarny punkt zobaczył jeden Kazach, ale początkowo nie zareagował, potem nie dawało mu to spokoju, poszedł na cmentarz i znalazł już niemal zamarzną Wieńczysławę. Nikt nam nie powiedział, jak mamy postępować w takiej sytuacji. Siostra została przeniesiona do najcieplejszego miejsca w izbie i okropnie wyła z bólu. Pamiętam ten jej krzyk. Zamiast ją powoli ocieplać, natrzeć śniegiem, to od razu została rozgrzana, strasznie cierpiała. Kilka lat po tym wydarzeniu jeszcze odczuwała różne dolegliwości.

Buran zasypywał wszystko, po jego przejściu nie widać było zabudowań, ludzie powoli odkopywali swoje domostwa, robili tunele i odgarniali śnieg. Do wnętrza lepianek światło przedostawało się jedynie przez okienko w dachu. Zimą dzieci spędzały w barakach. Śnieżne zasy i mróz uniemożliwiały poruszanie się.

Syberyjska przyroda jest mało przychylna człowiekowi. Latem żar łał się z nieba – ziemia spękana i morze falującej trawy. Jak nastawały zimy, to mrozy unicestwiały wszelkie życie. Zimno wdzierало się wszystkimi szczelinami. Mróz powodował skostnienie. Do dnia dzisiejszego bardzo nie lubię zimna.

Przemysł blisko, coraz bliżej

Gdy relacje polsko-rosyjskie poprawiły się, zmienił się też los zesłańców. Brat jeszcze w październiku 1941 roku zaciągnął się do Armii gen. Władysława Andersa, przeszedł szlak bojowy przez Persję, Egipt, Afrykę Południową do Wielkiej Brytanii, gdzie stał się tzw. cichociemnym i w 1944 roku został rzucony na teren okupowanej Polski. Siostra Zosieńka, mając 21 lat, chcąc wyrwać się z „niehumanitarnej ziemi”, opuściła nas i wstąpiła do formującego się w 1943 roku na terenie ZSRR wojska kościuszkowskiego. Tam poznała Jerzego Putramenta późniejszego męża.

Dwie dziewczynki, ja trzynastoletnia i siostra piętnastoletnia zostałyśmy same na kazachskiej ziemi. Mijały kolejne szare dni i miesiące wypełnione walką o przeżycie. Wszystkich Polaków ściągnięto do powiatu Karasu, skąd miano nas zabrać do kraju. Tam mieszkaliśmy dwa lata i musiałyśmy sobie jakoś radzić. W lecie pracowałyśmy na polu przy żniwach, siostra była doroślejsza, więc wykonywała cięższe prace, ja jeździłam na żniwiarce, takiej maszynie, która ścinała zboże i co jakiś czas trzeba było spuszczać wajchę, by wylatywały snopy. Zbierałam kłosa zboża, bo maszyny rolnicze trochę plonu pozostawiały na polach. Chodziłyśmy też podlewać ogródki warzywne, które były nad rzeką, ciężko było nosić wiadra z wodą pod górę, a wylewająca się woda powodowała śliskie podłoże, na którym łatwo było upaść. Czasem brałyśmy stamtąd jakieś warzywo, ale nas rewidowano, więc nie można było niczego wynieść. Jadłyśmy liście surowej kapusty, co było wielkim smakołykiem. Wieczorami robiłyśmy na drutach rękawice, skarpety dla czerwonoarmistów i cywilów. Należałyśmy do spółdzielni trykotarskiej. Oszczędzałyśmy na nafcie, więc trudno się robiło w półmroku, a mimo to udawało nam się troszkę na tych robótkach zarobić.

Dwa razy zawożono nas do miejscowości, gdzie była kolej żelazna. W końcu załapałyśmy się na transport do Polski. Na skutek działań wojennych transport został zatrzymany w Kijowie. Podróż była męką, nie wiem, jak przeżyłyśmy miesięczną jazdę pociągiem. Dotarłyśmy do Kijowa,

a tam czekały na nas wozy, by rozlokować nas w różnych miejscowościach obwodu kijowskiego. Zamieszkałyśmy w Czerkasach, gdzie była cukrownia zniszczona przez Niemców, my zesłańcy ją odbudowywaliśmy. Ja nie, bo byłam jeszcze dzieckiem, ale siostra pracowała na gruzach cukrowni. Gdy poszła do pracy, dostała melasę i pokój w hotelu robotniczym, który przypominał salę szpitalną. Każdy miał parę metrów i łóżko i znów parę metrów i łóżko. Co łóżko to inna rodzina. Osobno było pomieszczenie kuchenne, gdzie można było sobie przygotować coś do jedzenia.

Zaprzyjaźniłam się z taką równolatką, co jej ojciec grał w orkiestrze w domu kultury, on ją bez biletu wpuszczał i ona mnie też przemyciała. Tam były tańce, nauczyłam się walca, tanga, orkiestra grała, a myśmy skakały. Miałam też dwóch kolegów, z którymi pomagaliśmy starszym ludziom, nosiliśmy wodę, opał, sprzątali. Dostawaliśmy chleb i inne produkty spożywcze. Małe dzieci zabierano do zbierania truskawek. Przez pięć lat nie jadłam owoców, to byłam „dzika” na truskawki. Nie dawali nam pieniędzy, ale za to mogłam się najeść owoców i siostrze przynieść.

Siostra Zosieńka przysłała nam dokument uprawniający do przekroczenia granicy rosyjsko-polskiej i mogłyśmy wyjechać do Polski, ale nie miałyśmy za co. Jedna Ukrainka ze Lwowa, która była z nami na zesłaniu, pożyczyła nam na podróż. Przesiadkę miałyśmy we Lwowie, tam się trochę posiliłyśmy i przekazałyśmy listy od zesłańców dla ich rodzin. Zesłańcy pisali do swych bliskich, by dać im znać, gdzie się znajdują i prosić o dokumenty umożliwiające powrót do kraju. Smakołyki, jakimi nas częstowano, spowodowały, że miałyśmy problemy żołądkowe i leczyłyśmy się kilka dni.

25 lipca 1945 roku dotarłyśmy do granicy polsko-radzieckiej i po pewnych problemach pozwolono nam przekroczyć granicę. Jak dojeżdżałyśmy do Przemyśla, siostra zobaczyła Wieżę Katedralną, obie wtedy zamilkłyśmy, serce tak mi biło, że omal nie wyrwało się z piersi. Obie pamiętałyśmy przedzesłańcze życie, gdy Wieża służyła nam za zegarek i stale ją widziałyśmy z przemyskiego mieszkania w Rynku. Wróciło wspomnienie beztroskiego dzieciństwa, rodziców i wszystkiego, co było najukochańsze. Taka dziwna radość nas ogarnęła, pomieszana ze strachem. Siostra się bardzo bała, co teraz z nami będzie, a ja śmiałam się, cieszyłam się, że jesteśmy w Przemyślu.

Nie miałyśmy pieniędzy, wiedziałyśmy tylko, że dziadek przed wojną miał tartak, ale nigdy tam nie byliśmy. Siostra poszła na miasto zasięgnąć języka, a ja pilnowałam naszych ubogich tobołków w pobliżu dworca. Obok mnie stała pani z pięknymi walizkami wracająca z robót w Niemczech. Szkoda, że nie było aparatu fotograficznego, by móc utrwalić te dwa światy – tu wróg i tam wróg, ale jakże różnie wyglądałyśmy.

Pytałam przechodzących ludzi o dziadka, w końcu wokół mnie zrobiło się zbiegowisko, bo byłyśmy chyba pierwszymi, które wróciły z Rosji. Jeden chłopak podprowadził siostrę do dziadka Michała Bystrzyckiego i jego żony Jadwigi, ale dziadek jej nie poznał, wziął ją za dziewczynę do krów, którą chcieli zatrudnić. Dopiero musiała mu wyjaśnić, że jest jego wnuczką. Po mnie i nasz bagaż wysłał wóz, nie było zbytnio co na niego pakować. Domyto nas, łańchmany zamieniono na czyste ubrania, kołtuny rozczesano. Przez długi czas kuchnia dziadków była pełna ludzi. Przemyślanie i nie tylko przychodzili pytać o swoich bliskich zesłanych na daleką syberyjską ziemię.



Młodzieńcze lata

Zakończenie

Losy polskich zesłańców na „niehumanitarnej ziemi” były różne, niektórzy trafiali do leśnych *posiołków*, inni do sowchozów lub kołchozów, a jeszcze inni do sowieckich łagrów. Wszędzie było ciężko – surowy klimat, racjonowana żywność, praca w trudzie i znoju, choroby, insekty i śmierć. Deportowani szukali sposobów na przeżycie. To, co pozwoliło przetrwać trudne czasy pobytu na obczyźnie, to pomysłowość, zaradność, pozytywne relacje z miejscową ludnością i niegasnąca nadzieja na powrót do kraju. Cały czas mieliśmy nadzieję, że wrócimy do Przemyśla, do naszej rodziny.